12 PAŹDZIERN. 1935
NUMER ZAWIERA
24 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.20.

nr. 41

NOWY MARSZAŁEK SENATU U P. PREZYDENTA RZPLITEJ.



P. Prezydent Rzplitej przyjął na audjencji nowego Marszałka Senatu, płk. Aleksandra Prystora. Wedle Konstytucji Marszałek Senatu, w określonych tą ustawą wypadkach, jest zastępcą Prezydenta Rzeczypospolitej.

WOJNA WŁOSKO-ABISYŃSKA ROZPOCZĘTA.



Nalepianie obwieszczeń w Rzymie, wzywających do powszechnej mobilizacji faszystów.

Długo dzwoniono na tę wojnę, aż wreszcie godzina jej wybiła: Włochy spuściły na kark Abisynji miecz, który groźnie trzymały nad nią blisko 9 miesięcy. Warto bowiem przypomnieć, że początek przygotowywania się Włoch do zbrojnego wystąpienia przeciwko Abisynji odnieść należy jeszcze do grudnia roku ubiegłego, kiedy wydarzyło się, zapomniane już dzisiaj, drobne zajście na pograniczu południowej Abisynji i włoskiej Somali w małej wiosce Ual-Ual, której nazwa przejdzie zapewne do historji.

W końcu października roku ubiegłego koło tej miejscowości komisja anglo-abisyńska, badająca pastwiska w prowincji Ogaden, właśnie w Ual-Ual, położonem około 100 km. od granicy Somalji włoskiej (jak twierdzą Abisyńczycy), została napadnięta przez oddział włoski, rozporządzający czołgami i samolotami. Rząd Abisynji wystosował przeciwko temu protest do Ligi Narodów — i odtąd potoczyła się lawina drobnych wydarzeń, która doprowadziła do obecnych wielkich skutków.

14-go grudnia rząd etjopski zwrócił uwagę Ligi Narodów na „poważną sytuację" w Ual-Ual. — Tegoż samego dnia rząd włoski odpowiedział, że to właśnie oddział abisyński w sile tysiąca ludzi napadł Ual-Ual, które od dawna znajduje się w granicach włoskiej Somali. Opinja europejska uspokajała się wtedy refleksją, że przecież w r. 1929 Włochy i Abisynja zawarły traktat przyjaźni, wobec czego ten drobny spór o terytorjum pograniczne na obszarach nie mających wogóle żadnego większego znaczenia gospodarczego, zostanie przyjaźnie uregulowany. — Lecz już 23-go grudnia pojawiła się wiadomość, że rząd włoski tworzy jedną kolonję pod wspólnym zarządem z całej swojej „Afryki Wschodniej", to jest Erytrei i Somalji, mimo, że przedziela je Abisynja. A równocześnie gen. de Bono, dawny minister kolonji, udał się do Somalji włoskiej, a ministrem kolonji został sam Duce. Zamiary włoskie stały się jasne...

Potem poszło to prędzej. W lutym Włosi zmobilizowali dwie dywizje, w końcu lutego dalsze oddziały włoskie odpłynęły do Erytrei. W marcu pertraktacje bezpośrednie w sprawie zatargu o Ual-Ual między Włochami a Abisynją zostały zerwane, Abisynja odwołała się do Ligi Narodów, a Italja — odpowiedziała na to mobilizacją jednego rocznika swoich rezerw i wysłaniem tych nowych sił zbrojnych do Erytrei i Somali.

W kwietniu rząd etjopski zwrócił się do Ligi Narodów ze skargą, że Włochy przygotowują najwidoczniej wojnę, że zawiesiły nad nią groźbę najazdu, a Etjopja jest zbyt słaba militarnie wobec tak potężnego sąsiada — w odpowiedzi na co w końcu kwietnia nowe oddziały włoskie odjechały do Erytrei...

W początkach maja rząd włoski wyasygnował 30 miljonów lirów na wydatki wojenne związane z wyprawą erytrejską. — Liga Narodów zajęła się tą sprawą, na co rząd włoski odpowiedział, że odpiera wszelkie abisyńskie zarzuty co do napaści i uważa wszelką polemikę w łonie Ligi Nar. za bezużyteczną.

Istotnie polemikę nad tem w Lidze Narodów prowadzono ospale. W początkach sierpnia dopiero odpowiednia komisja Ligi doszła do przekonania, że w zatargu o Ual-Ual nie są winne ani Włochy ani Abisynja... Lecz tymczasem okręty włoskie już całemi eskadrami płynęły do Erytrei i Etjopji, naładowane tysiącami żołnierzy, olbrzymiemi zapasami materjału i sprzętu wojennego, karabinami maszynowemi, artylerją, amunicją, leciały na wybrzeża morza Czerwonego całe eskadry samolotów włoskich.

Od Massawy, gdzie cała wyprawa wojenna włoska wylądowała na brzeg afrykański, budowano gorączkowo drogi samochodowe do miejscowości Asmara, stolicy włoskiej Erytrei, położonej o 125 km. w głębi lądu, która stanowi dobry punkt wypadowy do ataku w kierunku południowym, ku północnemu pograniczu Abisynji, gdzie leżą Adua, Aksum i Adigrat.

Transporty jechały za transportami, we Włoszech powoływano pod broń coraz nowe roczniki, a ufne w potęgę swej zmobilizowanej siły militarnej Włochy na wszelkie przedstawienia w Lidze Narodów i Ligi Narodów odpowiadały, że sprawa ta nie należy do kompetencji Ligi, ponieważ z Ligi tej powinna być wykluczona Abisynja jako „kraj barbarzyński" i jako — napastnik, grożący połknięciem włoskiej Erytrei.

Nieśmiertelna zasada, że znajdujący się przed paszczą buldoga „królik zaczyna", ponieważ — rusza wąsami, znalazła i tutaj swoje zastosownie. Abisynja zagraża całości Italji, która — „musiała" odpowiedzieć na to powszechną mobilizacją i rozpoczęciem kroków wojennych...

Stało się. Słowa rzucone z Rzymu dały początek nowej wojnie, bezprzykładnej w nowych dziejach wojen kolonjalnych co do bezceremonjalności i co do rozmiarów. — Systematycznie bowiem przygotowano podbój i najazd

(Ciąg dalszy na str. 4-ej).



Król włoski, Wiktor Emanuel III.



Olbrzymie manifestacje ku czci Mussoliniego przed pałacem weneckim w Rzymie, w przededniu rozpoczęcia wojny włosko-abisyńskiej.



Benito Mussolini, dyktator Włoch.



Anglja montując front antywłoski zabiega usilnie o ścisłą współpracę z Francją. Wyrazem tych zabiegów jest wizyta, jaką książę Walji złożył premjerowi francuskiemu Lavalowi (na zdjęciu).

Scherl.



Cesarz Abisynji Haile Selassie w otoczeniu swych wojsk.

The New York Times.



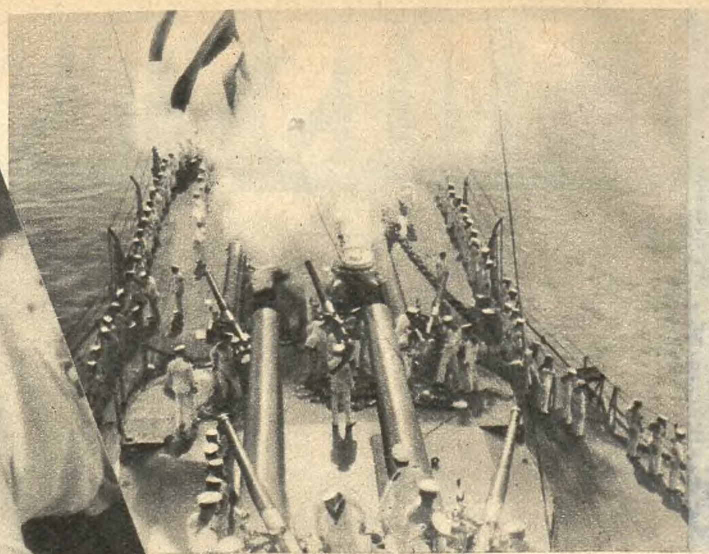
W kole:

Gen. Habuta Markalle, gubernator prowincji Kullo, b. szef abisyńskiej gwardji cesarskiej, dowodzi armją operującą w rejonie Ogaden. Jako młody oficer przyczynił się Markalle do decydującego zwycięstwa nad Włochami w dniu 1 marca 1896 roku pod Aduą.

WOJNA WŁOSKO-ABISYŃSKA JUŻ WYBUCHŁA



Wojownicy abisyńscy opuszczają Harrar, aby udać się na front.
Keystone.



Ostre pogotowie floty wojennej włoskiej: na pokładzie pancernika „Duilio".
Delius — Paris

(Ciąg dalszy ze str. 3-ciej).

ogromnego kraju, nie zaludnionego, jak reszta obszarów afrykańskich, przez luźne szczepy i plemiona, lecz stanowiącego jeden, dość zwarty organizm państwowy, pod władzą narodu, nie bez słuszności szczycącego się tem, że jest jednym z pierwszych narodów chrześcijańskich świata i że swoje chrześcijaństwo (choć skażone) przez piętnaście wieków utrzymał i ocalił przed zalewem mahometanizmu, który zmiótł chrześcijaństwo w całej północnej Afryce i otoczył koptyjsko-chrześcijańską Etjopję wielkiem morzem islamu.

Oczywiście, pomiędzy przygotowaniem najazdu i podboju Etjopji a ich przeprowadzeniem przez Włochy jest jeszcze wielka odległość. Wprawdzie bowiem Abisyńczycy ze swojem uzbrojeniem olbrzymiej większości armji, nieregularnej i mało zdyscyplinowanej, w przestarzałe karabiny, z brakiem prawie zupełnym artylerji i lotnictwa, z brakami amunicji, są technicznie prawie bezbronni wobec najnowocześniejszych morderczych narzędzi zniszczenia, jakiemi rozporządza armja włoska, od roku przygotowująca się do tej wojny.

Jednakże nieustraszone, dzikie męstwo abisyńskiego żołnierza, jego, właściwa pierwotnym ludom, pogarda śmierci, wytrwałość na trudy, przystosowanie do klimatu, wreszcie wrodzona wojowniczość tych myśliwców na lwy i lamparty oraz ich znajomość doskonała terenów walk — czyni z abisyńskiej armji groźnego przeciwnika. Albowiem sama tylko przewaga techniczna broni, jakkolwiek byłaby wielka, nie wystarcza do zwycięstwa, o którem decydują w ostatniej chwili — ludzie.

No, a poza tem — poza i ponad przeciwnikami, których porwała w swe straszliwe tryby rodząca się wojna, stoją jeszcze ci trzeci, a raczej ta trzecia.

Specjalna komisja Ligi Narodów ogłosiła już rolę Włoch w tej wojnie jako napastnika. Jest już podstawa prawna, ażeby zastosować przeciwko nim „sankcje" czyli wszelkie środki, które przeszkodzą Włochom prowadzenie roboty napastniczej wobec drugiego członka Ligi Narodów oraz jako burzyciela pokoju.

Pozostaje pytanie: jakie będą te sankcje i jak daleko sięgać będą? Prawdopodobnie ograniczyłyby się one do zarządzeń gospodarczych i finansowych, które dopiero na dłuższą metę zaszkodzić mogą Włochom, gdyby nie to, że w tej Lidze Narodów jeden jej członek i to najpotężniejszy: Wielka Brytanja — pragnie najszybszego i najenergiczniejszego przeszkodzenia Włochom w podboju Abisynji, nietylko w imię sprawiedliwości, ale także z powodu naruszenia w ten sposób przez Włochy bezpośrednio interesów brytyjskich. Niedaleka już przyszłość pokaże zapewne, jak Anglja, opierając się na podstawie moralnej i prawnej, stworzonej przez uchwałę Ligi Narodów, wystąpić zechce, aby napiętnowanego napastnika — ubezwładnić.

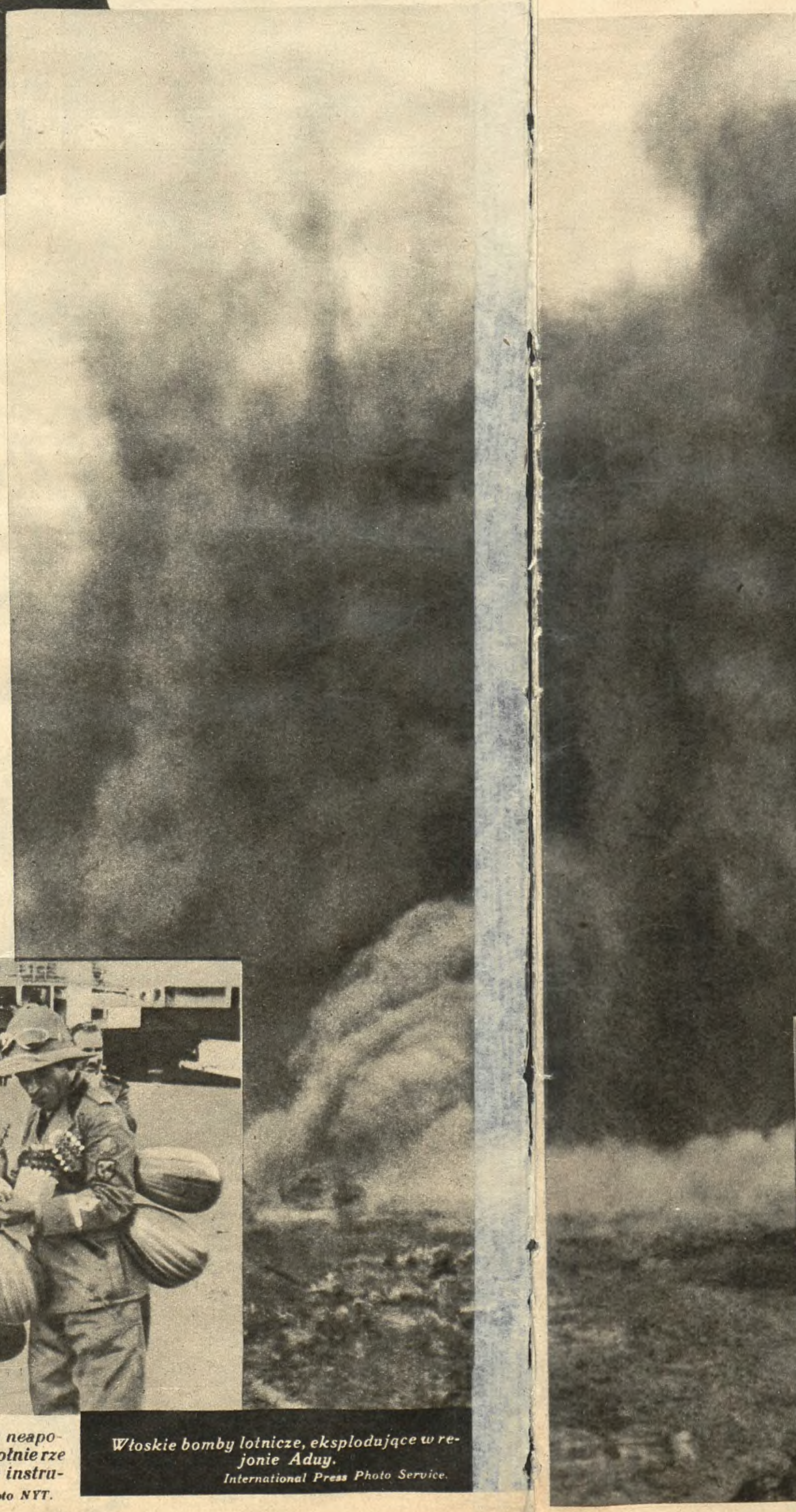
St. M.



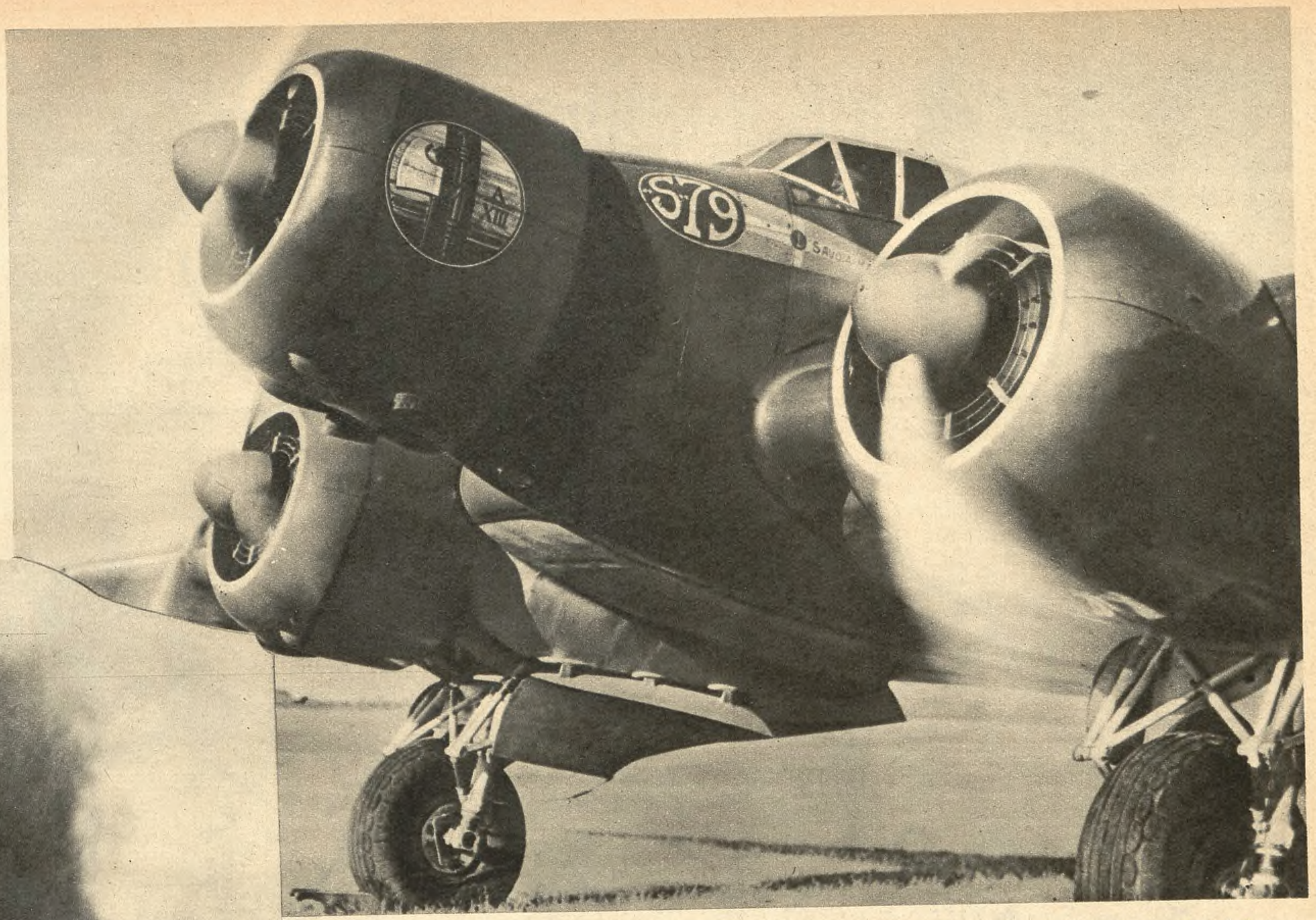
Odjazd żołnierzy włoskich na front.
Fot. Vedo.



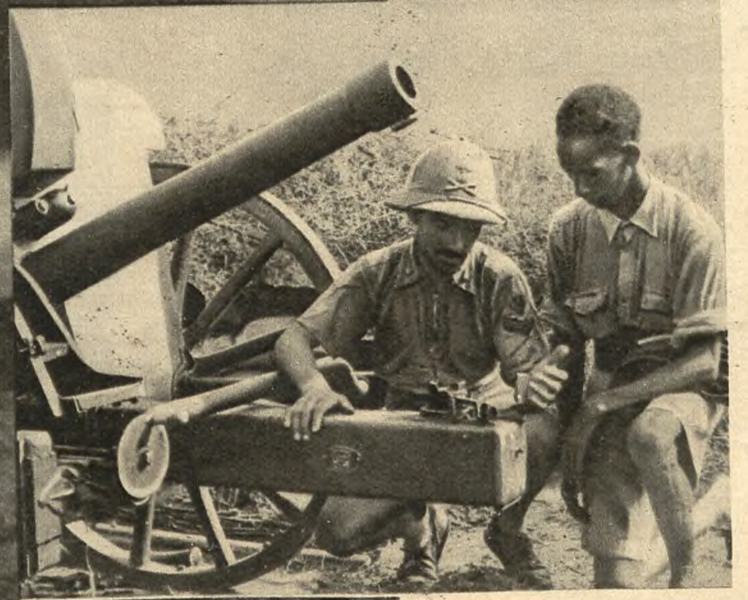
Uliczny sprzedawca mandolin w porcie neapolitańskim robi dobre interesy, gdyż żołnierze odjeżdżający do Afryki kupują chętnie instrumenty muzyczne.
Photo NYT.



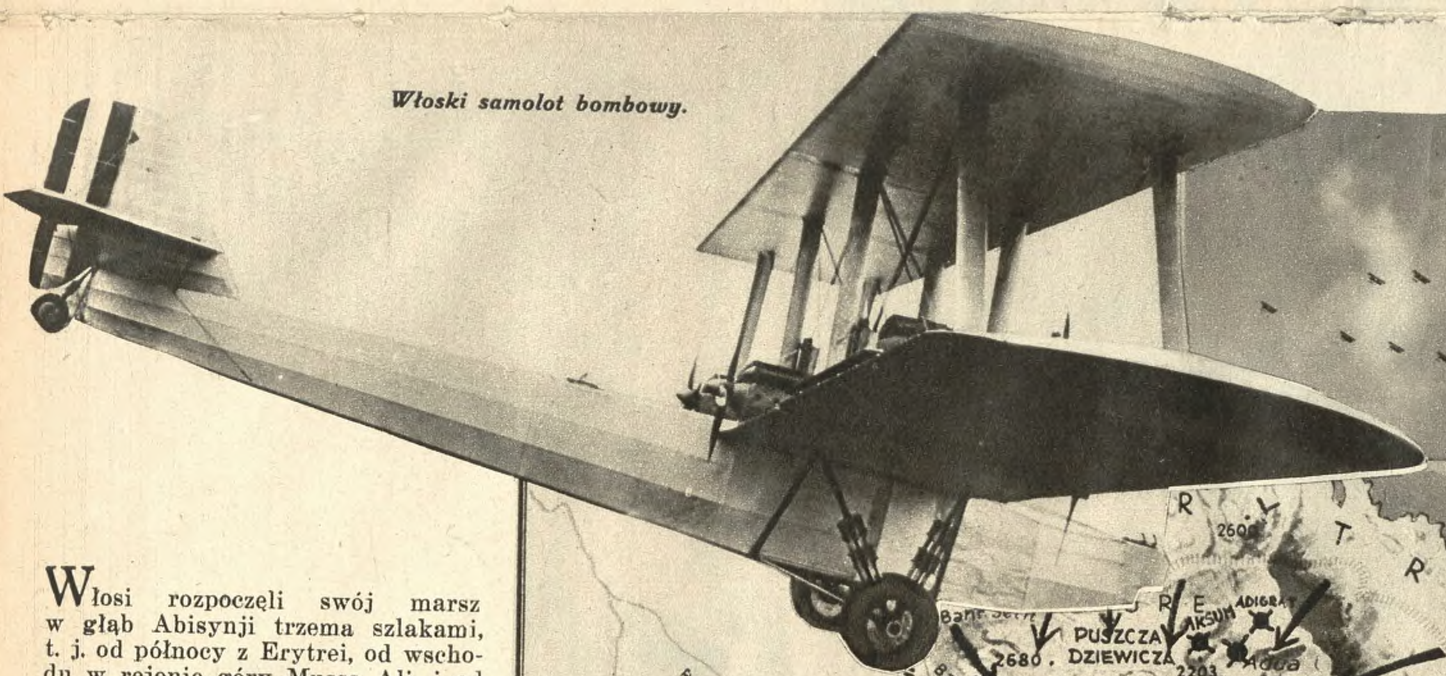
Włoskie bomby lotnicze, eksplodujące w rejonie Aduy.
International Press Photo Service.



Włoski samolot bombowy „Savoia Marchetti S. 79", jeden z tych, które zbombardowały Aduę.
Keystone.



Artylerja włoska na pozycji.
Photo NYT.



Włoski samolot bombowy.

MAPA AFRYKAŃSKIEGO TERENU WOJNY.

ABISYNJA

Włosi rozpoczęli swój marsz w głąb Abisynji trzema szlakami, t. j. od północy z Erytrei, od wschodu w rejonie góry Mussa Ali, i od południa z Somali, działając w kierunku Ual-Ual.

Grupa północna w sile mniej więcej stu tysięcy ludzi, wyposażona w najbardziej nowoczesny sprzęt wojenny, a przedewszystkiem w czołgi, ciężką artylerję i samoloty, zdobyła w ub. niedzielę pod dowództwem gen. Maravigna historyczną Aduę i utrzymała ją w swojem posiadaniu. Zauważyć należy, że Włosi mieli na tym odcinku czterokrotną przewagę liczebną, która sprawiła, że udało im się także wkroczyć do Adigratu i Entiscio, oraz zająć Aksum (grupa gn. Santini).

O dalszem posuwaniu się Włochów na tym froncie niema narazie mowy, gdyż trudności terenowe są olbrzymie i trzeba naprzód umacniać etapy i budować drogi. Walki bowiem toczą się na bezdrożach na wysokości od 2.000 do 3.000 m.

Na froncie wschodnim operuje grupa włoska, licząca 50.000 ludzi, z 95-ciu czołgami i 100 samolotami. Kontynuuje ona marsz w kierunku góry Mussa Ali. Poniosła ona wielkie straty nietyle od nieprzyjaciela, ile od nagminnie panującej tam malarji, żółtej febry i innych chorób tropikalnych.

Na froncie południowym Włosi zajęli Gerlogubi, Abisyńczycy zaś rozpoczęli działania dywersyjne na Ual-Ual.

Tak się przedstawia sytuacja na szachownicy abisyńskiej w pierwszych dniach wojny. W ostatniej chwili nadchodzą wiadomości, iż Abisyńczycy rozpoczęli kontrofensywę, odbijając zajęte przez Włochów terytorja i miejscowości na froncie północnym i wkraczając do Erytrei, a przez to grożąc odcięciem armji włoskiej.

Także podobno fort Ual-Ual został przez Abisyńczyków zdobyty.

Mapa nasza przedstawia Abisynję, strzałki zaś oznaczają kierunki ofensywy włoskiej, a krzyżyki miejscowości zajęte przez Włochów.



ZAWODY SZYBOWCOWE W USTJANOWEJ.



Pilotka-instruktor Aeroklubu lwowskiego p. Marja Younga, która w dniu 30 września b. r. w Ustjanowej osiągnęła wysokość 2.235 m. ponad start, ustalając nowy międzynarodowy rekord szybowcowy.



Por. Brzezina na chwilę przed startem.



Pilot B. Baranowski podczas zawodów szybowcowych uzyskał pierwsze miejsce w odległości przelotu (140 km).

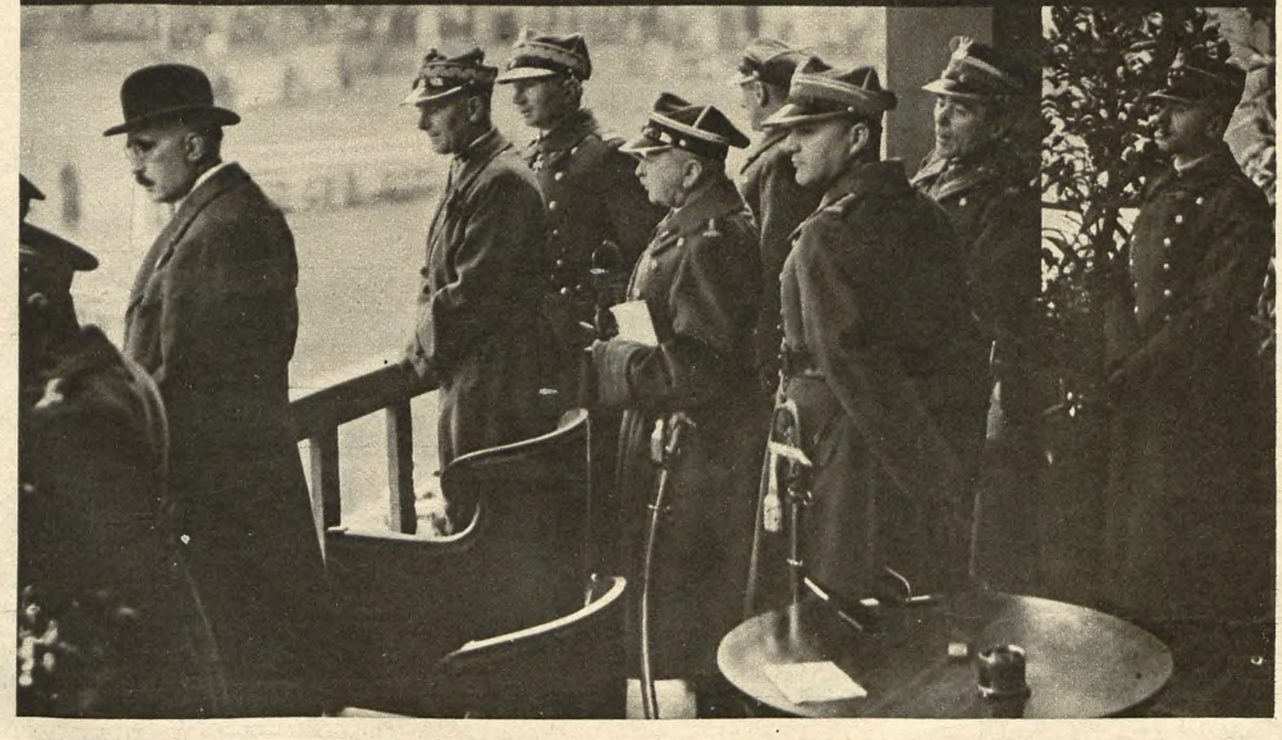
Wielkiem zainteresowaniem szerokich kół społeczeństwa cieszyły się zawody szybowcowe w Ustjanowej przy udziale czołowych pilotów ze Lwowa, Poznania, Warszawy i Gdańska. Walczono o cztery nagrody przechodnie za najdalszy przelot, najdłuższy czas lotu, największą wysokość i najdłuższy czas lotu nocnego. Osiągnięto wyniki doskonałe. Na szczególne podkreślenie zasługuje rekord osiągnięty przez pilotkę p. Youngę.

PŁYNĄ WYCIECZKI DO KRAKOWA

W Krakowie bawiła wycieczka członków dyrekcji i urzędników „Centropapieru" z Warszawy z prezesem H. Karpińskim, wiceprezesem Stypińskim, dyr. H. Haekem i Kocięckim na czele. — Po złożeniu hołdu cieniom Marszałka w krypcie wawelskiej i wycieczce na Sowiniec, goście zwiedzili „Pałac Prasy", gdzie ich sfotografowano.



ECHA KONKURSÓW HIPPICZNYCH.



Międzynarodowe konkursy hippiczne w Warszawie przyniosły największą ilość zwycięstw jeźdźcom niemieckim, lecz najważniejszy konkurs o puhar narodów wygrali Włosi. Najlepszym jeźdźcem okazał się por. Brandt, a z Polaków mjr. Lewicki. — Na zdjęciu Generalny Inspektor Sił Zbrojnych gen. Rydz-Śmigły, przyglądający się zawodom w towarzystwie gen. Römmla, płk. Karcza i ks. Janusza Radziwiłła.

Ag. fot. „Światowid".

PODDANI NEGUSA.

Ludność zamieszkująca od wieków obszar państwa abisyńskiego, mający 605 tys. km. kw., liczy około 10 miljonów ludności. Według włoskich źródeł liczba ta wynosi 12 miljonów, zaś według niemieckich 8 i pół miljona. Gęstość zaludnienia zależną jest od charakteru klimatu danej połaci kraju. Abisynja dzieli się na trzy strefy: kraj nizinny „k o l a", leżący na wysokości od 1.000 m n. p. m. do 1.700 m. II strefa: „w o j n a d e g a", na wysokości od 1.700 m do 2.400 m, gdzie kwitnie uprawa ryżu, kawy, wina, oraz trzecia strefa na wysokości ponad 2.400 m, zwana „d e g a", gdzie mieszkańcy uprawiają pszenicę, żyto, jęczmień i t. d.

Co do etnicznego pochodzenia autochtonicznej ludności panują dwie tezy. Jedna grupa antropologów twierdzi, iż przodkowie dzisiejszych Etjopów przybyli Nilem z Egiptu i z Arabji i Kaukazu przez Morze Czerwone; inna zaś, iż z głębi afrykańskiego kontynentu przybyła ludność murzyńska, która w ciągu wieków skrzyżowała się z napływową z północy ludnością białej rasy.

Antropolodzy ustalili dwa typy wśród zamieszkujących obecnie Etjopję ludów. Jeden typ, murzyński, o skórze bardzo ciemnej i drugi, kaukazki, o wydłużonych czaszkach i pięknie wykształconym nosie.

Do najstarszych szczepów należą Agauowie, zamieszkujący prowincję tej nazwy. Do nich zbliżeni są falaszowie i pogański szczep Gamant. Na wybrzeżu Czerwonego Morza osiedlił się szczep Galla o wybitnych murzyńskich cechach. Plemię Amhara zamieszkuje nietylko prowincję tej nazwy, lecz również i część kraju Szoa. Plemię Tigre posiada więcej semickich przymieszek, niźli amharyci. W Samharze żyje koczowniczy lud schoho. Nad rzeką Mareb, nad którą rozpoczęły się pierwsze walki, mieszka plemię homram. Największego znaczenia dobił się szczep Galla, który wykorzystawszy liczne zamieszki, wbił się tu głębokim klinem pomiędzy inne do wnętrza kraju.

Pierwotny język abisyński, należący do semickiej rodziny językowej zamarł i dziś używany bywa jedynie w liturgji. Jego miejsce zajął język amharycki, pierwotny język hamitów. Na południe i na zachód od Takaseh potocznym językiem jest tigre i tigrina, będące semickiemi djalektami. Urzędowym językiem Etjopji jest amhara, najbardziej po arabskim rozpowszechniony.

Abisyńczycy są średniego wzrostu, dobrze zbudowani. Przeważa ciemnobronzowy kolor skóry o odcieniu czerwonym. Ludność cechują piękne czarne oczy o inteligentnem spojrzeniu, przymykające się w jakiś koci sposób w słońcu. Często spotyka się stare egipskie profile twarzy, ocienione gęstym, czarnym, kruczym włosem. Abisyńczycy jako stroju używają rodzaju togi. Jest to tkanina wełniana, długości 7 łokci, zwana „top", albo „futa". Chrześcijanie na szyji niebieski, jedwabny sznur, zwany „mateb" jako swą odznakę noszą. Nie używają żadnego nakrycia głowy, sandały noszą jedynie mahometanie, inni, zarówno żołnierze jak i cywilni chodzą boso. Duchowieństwo goli gładko głowę i nosi turbany koloru białego, czerwonego lub żółtego. Cechą charakterystyczną stroju abisyńskiego są stale używane parasole. Mieszkanki prowincji Schoa do konstrukcji swych wysokich fryzur używają wielkiej ilości masła. Kobiety prowincji Amhara i Tigrena noszą długie koszule przepasane opaską; głowy pokrywają chustą, zwisającą aż do bioder. W uszach, na szyji, na rękach i nogach noszą branzoletki ze srebra, miedzi lub żelaza, stosownie do stopnia zamożności. Od dawien dawna wyrywają sobie brwi, kreśląc wielkie łuki nad oczyma niebieskim ołówkiem. Abisyńskie ludy nie odznaczają się czystością, ani przestrzeganiem najprymitywniejszych zasad higjeny, to też wskutek używania dużej ilości tłuszczów, jako pomady, szerzą nieznośny odór.

W każdej z wymienionych wyżej trzech stref geograficznych panują trzy różne kulturalnie typy, z których na najniższym poziomie stoją szczepy koczownicze z I strefy, posługujące się przenośnemi namiotami. Na wyżynach drugiej i trzeciej strefy mieszka ludność pasterska, osiadła z dawien dawna w pobliżu rzek i jezior. Ludność ta uprawia z zamiłowaniem myśliwstwo, polując na rozliczne gatunki dzikiego zwierza, w które obfituje Abisynja. Jako mieszkanie służy przeważnie gliniana lepianka, nakryta słomianą strzechą. Lepianki są zbudowane na założeniu kwadratu lub koła. Chata kwadratowa, kryta stożkowatym dachem, zwie się „h u d m ó". Nawet domy naczelników szczepów nie różnią się od prymitywnych wieśniaczych lepianek. Urządzenie wnętrza mieszkalnego jest niesłychanie prymitywne. Pożywieniem Abisyńczyków jest przedewszystkiem mięso zdobyte z łowów, polane ostrym, przyprawianym korzeniami sosem i chleb przaśny; jako napój służy rodzaj piwa, zwanego „Sorghum" albo „Dagosa" i gatunek rozcieńczonego miodu, będącego napojem wyższej kasty. Ludność dzieli się na szlachtę i wieśniaków. Najwyższą kastą są Mekunowie, do których należy król, gubernator i patrjarchowie, wyżsi oficerowie i urzędnicy. Kastowość i hierarchja jest ściśle przestrzegana w tym kraju o typie patrjarchalnym.

Panującą religją jest chrześcijańska obrządku koptyjskiego. Chrześcijańskie zwyczaje zmieszane są z różnorodnemi obyczajami żydowskiemi, islamskiemi i pogańskiemi. Na czele kościoła stoi Abuna z Anhary, odpowiadający stanowisku metropolity. Spowiednik królewski odpowiada naszemu prymasowi. Księża wyższych stopni przestrzegają celibatu, zaś niżsi żenią się. W Abisynji znajduje się mnóstwo klasztorów i kościołów, często w skale wykowanych. **mdd.**



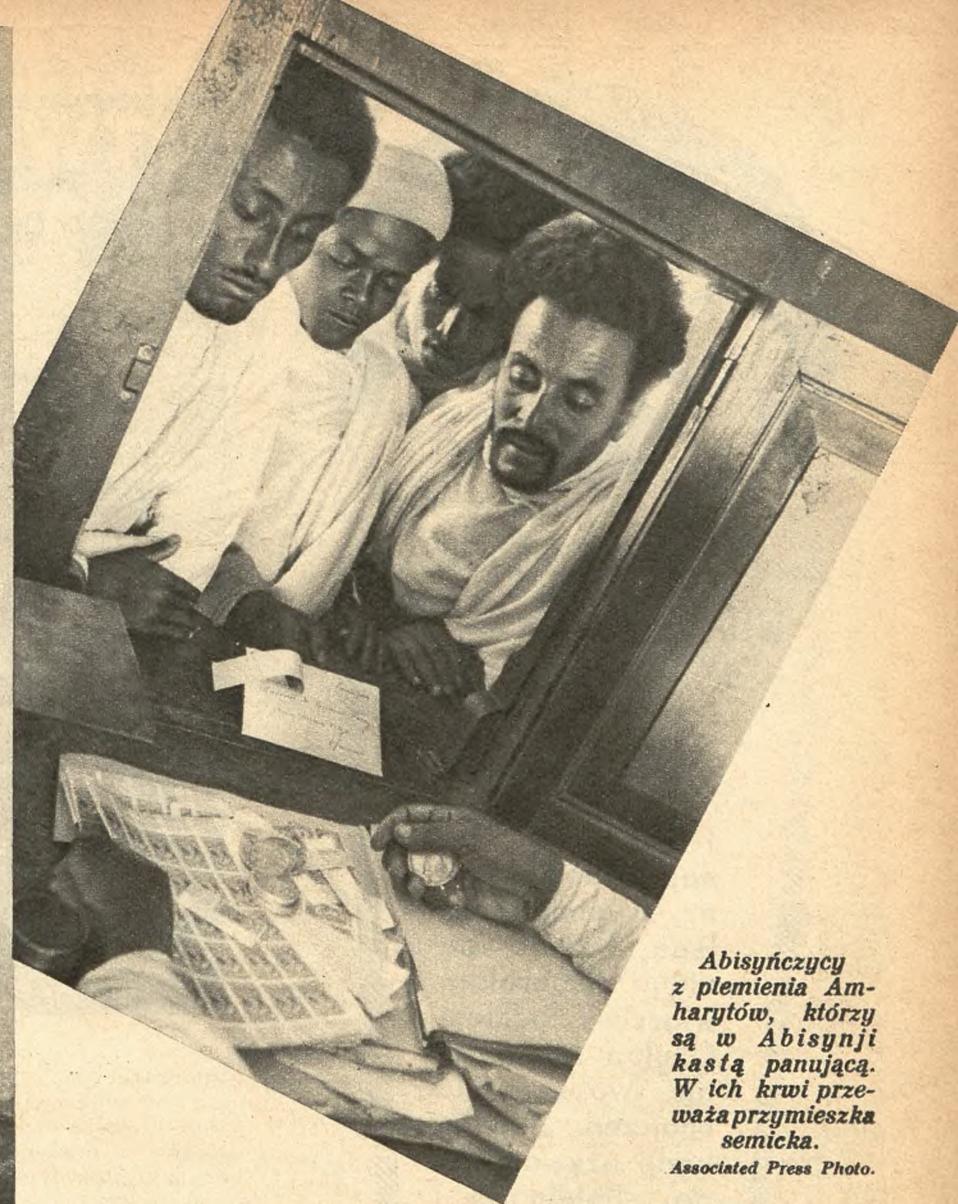
Abisyńczyk z pogranicza Sudanu o rysach wybitnie arabskich.

Orient Press Photo — Tel Aviv.



Typowy krajobraz abisyński: pasmo górskie w pobliżu Aduy. Na tem przedpolu Włosi w 1896 r. ponieśli druzgocącą klęskę.

Fot. NYT.



Abisyńczycy z plemienia Amharytów, którzy są w Abisynji kastą panującą. W ich krwi przeważa przymieszka semicka.

Associated Press Photo.



Abisyńczycy ze szczepu Falaszów.



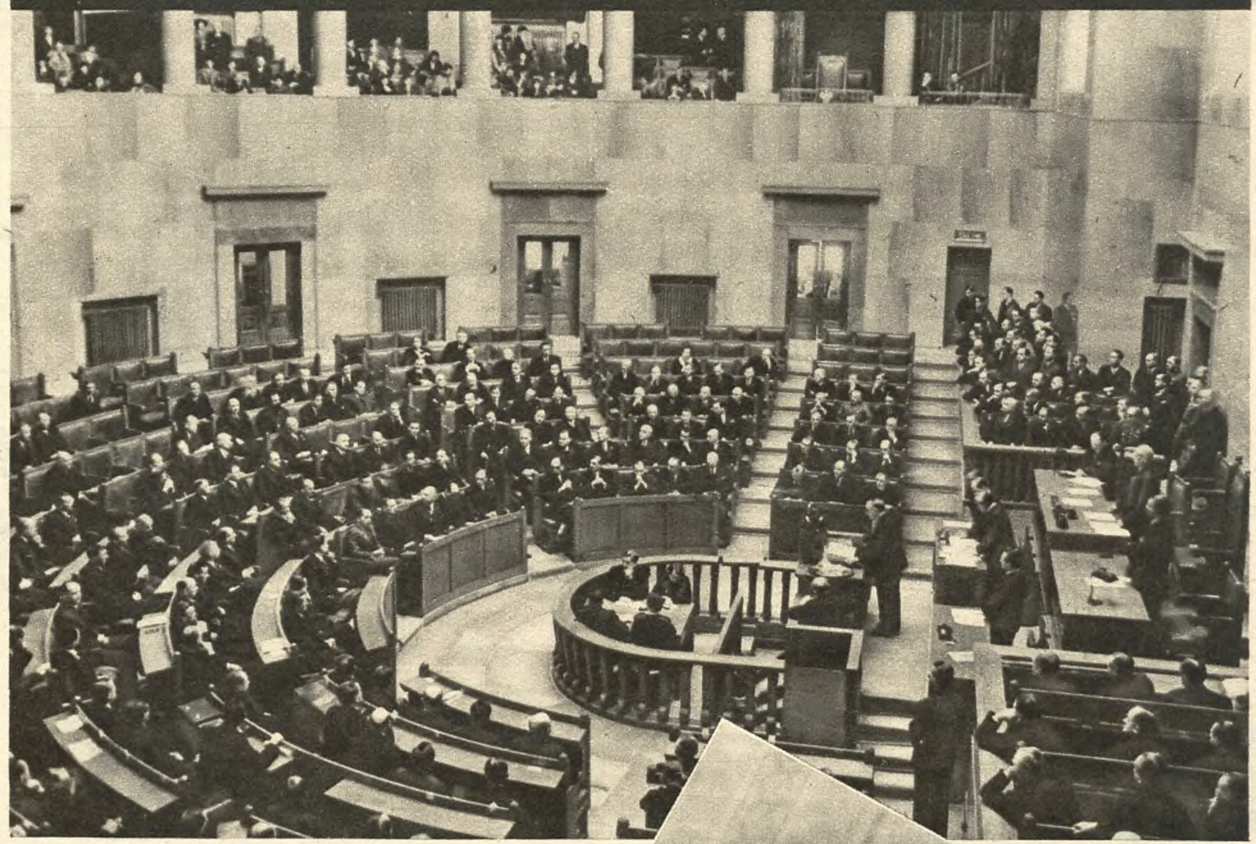
Kobiety abisyńskie z plemienia, w którem przeważa krew murzyńska.



Młode dziewczę ze szczepu Galla.

M. Gerlach — Berlin.

OTWARCIE SEJMU I SENATU.

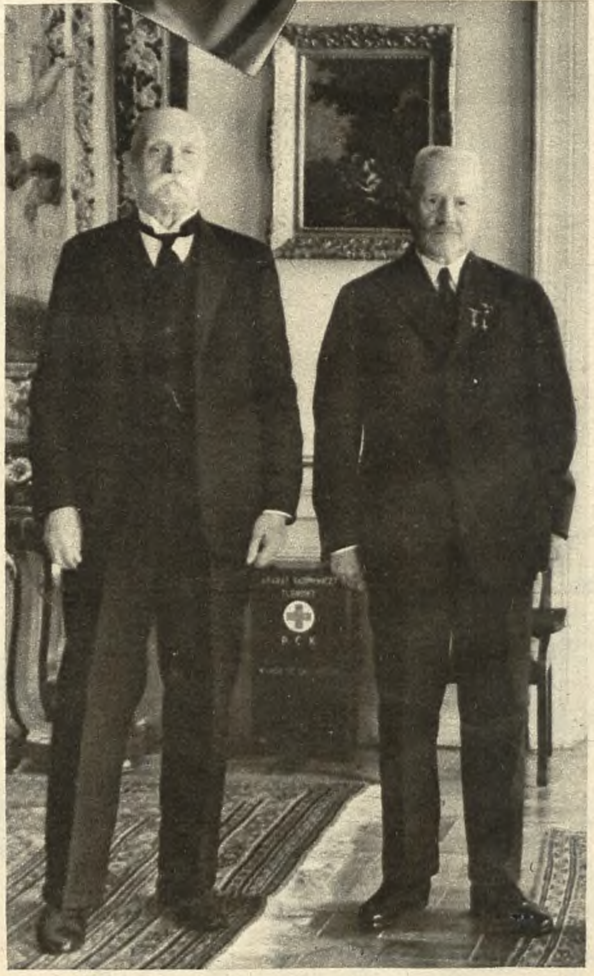


Widok na salę sejmową podczas przysięgi posłów. Przewodniczy generał Żeligowski.

Inauguracyjne posiedzenia nowowybranego parlamentu zawsze są bardzo ważnem wydarzeniem. Na pierwszy plan wysuwa się w takich razach oczywiście polityczny punkt widzenia: jaką będzie ta nowa, z tym dniem rozpoczynająca się era nietylko w dziejach tego parlamentu, ale i całego państwa, w którym on tak ważnym jest czynnikiem, jako organ ustawodawczy i kontrolny. Lecz nawet poza tem pierwsze zebranie Sejmu i Senatu budzi powszechną ciekawość. Rozglądając się po obu salach nie widzi się wielu posłów i senatorów, którzy w tych fotelach zasiadali, nieraz przez długi szereg lat. Widzi się natomiast wiele nowych twarzy, wielu posłów i senatorów, którzy wprawdzie dali się już poznać na innym odcinku pracy obywatelskiej, ale w tych salach są nowicjuszami, sami ciekawie się wokoło rozglądają, budząc również zainteresowanie obserwatorów. To też inauguracyjne posiedzenia Sejmu i Senatu odbyły się niemal przy pełnym komplecie wybrańców społeczeństwa, w obecności wszystkich członków rządu, wśród powszechnego zainteresowania sprawozdawców polskich i zagranicznych, no i oczywiście całej rzeszy fotografów. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że wybrane na podstawie nowej Konstytucji i nowej ordynacji obie Izby powołane są do odpowiedzialnej pracy, do dalszej budowy potęgi Rzeczypospolitej, zagadnienia tem ważniejszego, że chwila obecna, wśród rozmaitych komplikacyj międzynarodowych, wśród niesłabnących trosk gospodarczych wymaga wielkiego rozumu politycznego, świadomości zarówno celu, jak i dróg, do niego prowadzących.



Nowy Marszałek Sejmu Stanisław Car.



Generał Żeligowski (po prawej) i senator Herbaczewski (Ukrainiec), jako najstarsi wiekiem otworzyli sesje Sejmu i Senatu. Zdjęcia Ag. Fot. „Światowid".

BUNT W INDJACH.



Na północno-zachodniej granicy Indyj wybuchło powstanie, skierowane przeciwko panowaniu angielskiemu. Przeciwko powstańcom władze brytyjskie wysłały korpus, złożony z 15.000 ludzi, wyposażonych w czołgi, samoloty i broń pancerną, na czele którego stanął gen. Auchinleck. Przednie straże tego korpusu wpadły w zasadzkę w pobliżu pasma Nahakki i poniosły klęskę tracąc 130 zabitych, w tem dwóch oficerów. Ponieważ walki toczą się w niebosiężnych górach, w terenie niedostępnym i pozbawianym dróg, Anglja niełatwo da sobie radę z powstańcami. Na zdjęciu czołgi angielskie w dolinie Toratigga.

Z TYPÓW WARSZAWSKICH.

„KRÓL WŁADYSŁAW JAN HR. STRASZEWSKI".



Król Władysław Jan na tronie.

Widzi się go wszędzie: na ulicy i przystankach tramwajowych, w poczekalniach banków czy redakcyj; to znowu spotyka go się nagle w Wawrze, gdzie w lecie nocuje u kolejarzy o dobrem sercu. Jeden z typów, jakich wiele ma każde wielkie miasto. Dziś — prawdopodobnie zdecydowany, choć łagodny obłąkaniec; w niedalekiem wczoraj był może tylko oryginałem i dziwakiem, który stopniowo, pod naciskiem i własnego dziwactwa i może ciosów złego losu, wpadał w coraz większe zamroczenie umysłu...

Przeszłości króla Władysława hr. Straszewskiego ministra „w imię rządów polskich nowoczesnych" nikt nie badał. Prawdopodobnie ujmy ona mu nie przynosi: jest w niej zapewne ongi lepszy byt, dobre wychowanie domowe — przynajmniej co się tyczy manier, pochodzenie „z dobrej rodziny". Jeszcze dziś można się tego domyślać z zachowania się, z rasowej twarzy, z nieuchwytnego a jednak widocznego stempla godności, pozostałego nawet w geście, przyjmującym — jałmużnę.

Dlatego właśnie wszędzie go tolerują. Przychodzi naprzykład do biura administracyj dzienników i w lokalu poczekalni, otwartej dla publiczności pisze swoje „referaty", które przeznacza do druku. Uważa się czasem za korespondenta pism „krajowych i zagranicznych", czasem za ministra aktualnego, czasem tylko za — reformatora loterji. Swoje elaboraty wysyła nawet czasem pocztą. Dostaliśmy i my od niego projekt własny i oryginalny niezaprzeczenie, „zniesienia kryzysu w Polsce": na każdej ulicy powinien być bank, gdzie wszystkim dają pieniądze, restauracja, gdzie darmo dają pożywienie, sklepy rozdające odzież i obuwie — wtedy zniknie nędza...

Biedny manjak, który w ostatecznym upadku własnym jeszcze myśli o innych, o społeczeństwie. Gdybyż choć dla niego otwarto raz jeden z takich sklepów! Choćby z odzieżą i obuwiem. Ubrany jest prawie w łachmany, w odzież mocno postrzępioną, lecz nosi ją jak płaszcz królewski. Siwa, skudłana broda nasuwa myśl o jakimś królu Learze w dawnym stylu. Na bladej, wychudłej twarzy, pełnej zmarszczek, kształtny orli nos pozostał jako wspomnienie dawnej rasowej urody. Bladoniebieskie oczy błądzą spojrzeniami, lecz patrzą bystro, ręce jakby automatycznie szukają czegoś, w co by się udrapować, przybrać pozę monarszą. A tymczasem muszą nieraz w koszyku na odpadki szukać pożywienia...

Publiczność warszawska trochę za mało okazuje serca dla „króla-hrabiego-ministra", strąconego obrotem koła niemiłosiernej fortuny na dno ulicznej nędzy. st. m.



NA RYKOWISKU

Jesteśmy u końca sezonu polowań na jelenia na rykowisku. Stan jeleni w Polsce jest obecnie doskonały. Ogółem posiadamy wedle dat konsulenta Min. Roln. inż. Knothego w samych lasach państwowych 7.155 jeleni nizinnych a 3.727 górskich, wedle stanu za rok 1934. W lasach prywatnych stan jeleni jest większy.

Jeżeli mowa o jeleniu w Polsce, to przedewszystkiem sławę łowiectwa polskiego dzierży jeleń wschodnio-karpacki. Wedle oficjalnych dat ryczało w Karpatach w r. 1934 ponad 1.000 byków, a stan ten wedle wielkiego znawcy red. „Łowca“ p. Alberta Mniszka jest tak dobry, że wkrótce gotowo być w Karpatach jeleni za dużo.

Rykowisko zaczyna się zwykle w Karpatach wschodnich około 20 września. Zrazu ryczy jeden jeleń, drugi, muzyka z każdym dniem wzrasta tak, że 28 września bywa rykowisko najlepsze. Wśród wyjątkowych warunków trwa ono czasem, jakkolwiek już słabiej, do 10 października.

Charakterystyczny jest list słynnego myśliwego hr. Pawła Palffy, który do jednego z myśliwych Małop. napisał m. in. „...Dotychczas dużo strzelałem antylop, gazel, przedwczoraj pierwszego tygrysa... A jednak wierzaj mi, że niema nic ponad jelenia karpackiego. Te góry wschodnio-karpackie, tonące w błękicie, to znów otulone w mgły, potoki rwące w jarach, widok olbrzymich jodeł, czy buków omszonych i szum wiatrów w ich koronach, a wśród tego wszystkiego czarowna, potężna pieśń nad pieśniami jelenia w czasie jego godów miłosnych na rykowisku, to najcudowniejsza muzyka — dla niej samej warto przyjechać do Polski...“.

eska.



Po gorączkowych przygotowaniach i debatach w wielkich magazynach stolicy naszej, sezon jesienno-zimowy rozpoczął się już na dobre. Po powrocie z Paryża i innych wielkich miast Europy właściciele naszych czołowych domów Mody zapoznawali już elegancką Warszawę z ostatniemi kreacjami, tak w dziedzinie sukien i płaszczy, jak i w dziedzinie futer i bucików.

I właśnie teraz, w pełni jesieni i zbliżającej się zimy, w świecie mody nastaje okres rozkwitu nowych form, które dla pięknych pań stanowią najpoważniejszą troskę.

I może jakby dla kontrastu z najmniej ponętną i „mokrą" porą roku, dyktatorzy nasi na swych pokazach mody jesienno-zimowej zaprezentowali modele tak piękne i pełne uroku, że doprawdy wprowadzili swych gości na rewjach w niekłamany zachwyt.

A więc trochę szczegółów. Boguchwał Myszkorowski pokazał swym gościom piękne suknie przedpołudniowe z wełny, przybrane futrem. Popołudniowe o rękawach rozciętych, spadających prawie do kolan. Suknie wieczorowe drapowane w najrozmaitszy, misterny i czarodziejski sposób, są jakgdyby wzorem posągów greckich.

Oprócz szerokich rękawów, oprócz drapowanych sukien wieczorowych, linja ogólna toalety pozostała bez zmiany. Ramiona szerokie, często kwadratowe, talja zaznaczona szerokim paskiem.

Przy tem wszystkiem podkreślić wypada wypracowanie, wybitną strojność i prawdziwy smak modeli.

Nowe gatunki materjałów przynoszą piękne odcienie kolorów. Wielka skala tkanin, kontrast kolorów gwałtowny, oraz żywe wahania w barwach, oto wskazania obecnej mody w materjałach.

Nie należy zapominać również o stosowanych teraz bardzo szeroko kwiatach do sukien wieczorowych i paskach z brylantów, pereł, strassów i szerokich ze skóry.

Król futer Maksymiljan Apfelbaum i mistrz w dziedzinie obuwia Lucjan Leszczyński odnieśli wielki sukces na odbytej w ubiegłym tygodniu wielkiej rewji mody w hotelu „Bristol" w Warszawie.

Piękne kreacje z pracowni Apfelbauma budziły ogólny entuzjazm. Widzieliśmy wspaniałe modele i wielką rozmaitość futer na każdą porę i do każdej okoliczności. Toteż z futrzanego repertuaru podziwiano wszystko: i nurki i breitszwance czarne, brązowe i szare i gronostaje i foki i piżmowce i popielice, przeważnie płaszcze i peleryny — capes.

Niemniejszem zainteresowaniem cieszyły się misternie wykonane w pracowni Leszczyńskiego cacka-buciki. Dla prawdziwie eleganckiej, dobrze ubierającej się pani kolor i fason pantofelka, to niezmiernie ważna rzecz w całości toalety. W tej dziedzinie Leszczyński słynny jest w całym kraju. Dobrze skrojony i umiejętnie dobrany bucik podnosi wytworny smak całej postaci, a wówczas każdej kobiecie eleganckiej daje tę przemiłą świadomość, że rzeczywiście nie wykroczyła w żadnym szczególe przeciw kanonom mody. Zdajemy sobie doskonale sprawę, jak razi źle wykonany, lub źle dostosowany bucik. Leszczyński posiada właśnie ten niespotykany u nas dar niewyczerpanej pomysłowości w realizowaniu modeli i umiejętność dostosowania ich do całości toalet.

Winniśmy zapamiętać, że każda całość składa się ze szczegółów, a nieuwzględnienie jakiegokolwiek świadczy o złym smaku, lub niedbalstwie.

M. Dachowski.

Na lewo:

Piękna suknia wieczorowa z czarnego, matowego jedwabiu, przybrana haftem z dżetów, u dołu bardzo szeroka, z tyłu drapowana. Tył sukni w formie kaptura, zastępującego często sortie, lub szal. Model firmy Boguchwał Myszkorowski, Warszawa.

FOT.
DORYS
WARSZAWA

Na prawo:

Pełna wdzięku i urody p. S. K. we wspaniałym płaszczu trzyćwierciowym z bronzowych karakułów, rękawy w formie oryginalnej pelerynki. Model z firmy Maksymiljan Apfelbaum — Warszawa.



Jesienne liście — jesienna moda.

Marja HESSEL

91

PIĘCIOPŁATNICA

POWIEŚĆ

Zebrał po kilka osobników wszystkich najpiękniejszych kwiatów i natychmiast zabrał się do pracy. Przez małe okienko, zasunięte drewnianą okiennicą, podawano mu pożywienie, a on pracował dnie i noce bez wytchnienia, prawie nie wychodząc z pracowni.

Ustaliwszy połączenie gatunków, zasadził skrzyżowane rośliny w szklanem pudełku. Następnie podszedł do klatki, wiszącej na jednej z ścian. Znajdował się w niej duży ptak, z nakazu Cumy złowiony w sidła.

Spłoszony ptak, bił skrzydłami o druty, usiłując uciec, wreszcie począł dziobać botanika po palcach. Nie zważał na to, wyjął ptaka z klatki, zaniósł nad pudełko i podciął mu gardło ostrym nożykiem, przytrzymując trzepoczącego się w agonji nad powierzchnią ziemi tak długo, aż wszystka krew spłynęła. Ptak znieruchomiał. Cuma odsunął okiennicę i jednym silnym ruchem ramienia odrzucił martwe ciało daleko w las.

Odtąd regularnie co jakiś czas przynoszono Cumie pod pracownię złowionego ptaka. Każdy ginął taksamo jak pierwszy. Ale po upływie kilku tygodni Cuma stwierdził, że roślina przyjęła się znakomicie i rośnie niemal w oczach, coraz silniejsza, coraz piękniejsza.

Botanik skrupulatnie badał każdy atom nowopowstałej rośliny, każdą żyłkę w listku, każde włókno łodygi. I stwierdził, że jakkolwiek eksperyment udał się, nie wykazał w stu procentach takiego wyniku, jakiego spodziewał się według nieomylnych niemal obliczeń i kombinacyj. Więc jedną z roślinek rozebrał chemicznie tak dokładnie, że absolutnie musiał już wyśledzić brak; przeprowadził drobiazgową analizę ziemi, z której kwiat wyrastał — i wiedział już wszystko.

Niezniechęcony, wytrwały, powtórzył cały eksperyment poraz trzeci. Znowu skrzyżował wybrane gatunki, znowu ułożył je w szklanych pudłach i znowu na szereg miesięcy uzbroił się w cierpliwość.

Jak poprzednio, chwytano mu w sidła ptaki, ale już ich nie zabijał, jeno w nocy, gdy wszyscy spali, uchylał okienko i puszczał je na wolność: nie były mu potrzebne.

Pewnej nocy natomiast znikł bez śladu jeden z Hindusów. Gdy rano zauważono jego brak, Cuma rozkazał wszystkim szukać go. Szukano go więc w promieniu kilkunastu kilometrów — naprożno. Nie znaleziono nawet strzępa z jego szaty. Znikł, jakby się zapadł pod ziemię.

Cuma co jakiś czas zaglądał do swego eksperymentu i za każdym razem wychodził z pracowni coraz bardziej zadowolony i coraz bardziej podniecony.

Mijały tygodnie. I znowu ktoś ze służby zniknął tajemniczo. Na pozostałych padł blady strach. Byliby niechybnie pouciekali i rozpierzchli się, gdyby nie fakt, że sam Cuma wyszedł do nich. Powiódł po nich spojrzeniem — i zatrzymali się wszyscy, każdy tam, gdzie stał. Uspokoił ich jednem krótkiem słowem. Pospuszczali głowy, zdjęci trwogą i szacunkiem, a taką miał nad nimi władze ogromną, że zostali bez niechęci. On duszami ludzkiemi bawił się, jak żongler i robił z niemi, co chciał.

Teraz już Cuma miał dość wolnego czasu. Poświęcał go w zupełności prawie Hanneh i córeczce. Dziecko za każdem jego zbliżeniem drżało i bladło, jak kreda, chowając główkę za plecy matki, by nie patrzeć w oczy ojca. Odczuwało przed nim niewypowiedziany strach. Ujął je sobie wreszcie łagodnemi słowy, ale zawsze bało się go. Zresztą on do tego właśnie dążył, dobrowolnie dopuszczał do wytworzenia się takiego stosunku pomiędzy sobą i Edyth; przygotowywał dziewczynkę do roli, jaką w przyszłości odegrać miała. Dziecko stało się w końcu tak wrażliwe, że reagowało na każde spojrzenie, na każdą niemal myśl jego, wyczuwało, czego żądał, zanim zdążył wypowiedzieć wszystko.

Pewnego dnia o bardzo wczesnym świcie, gdy nawet ptaki spały jeszcze, ukryte w gałęziach, wszyscy śpiący w namiotach poczęli poruszać się niespokojnie, siadać na posłaniach, a po zupełnem przyjściu do przytomności, wciągać w płuca powietrze ze zdziwieniem i uwagą.

— Co to jest? — pytano się wzajem oczyma.

Dokoła namiotów unosił się w powietrzu nieopisanie piękny zapach, subtelny, delikatny, oszałamiający. Wiele kwiatów, rosnących na Sudanie, posiadało przepiękną woń, ale to, co pachniało teraz, przewyższało postokroć pięknością swą najcudniejsze wonie świata. Od zapachu tego poczynało chwytać wszystkich drżenie zachwytu i uniesienia.

Cuma zbudził się narówni z innymi. Skoczył na równe nogi i wypadł w kierunku pracowni. Rozległ się jego głośny, dziki jakiś krzyk — i ucichł nagle. Hanneh skoczyła ku pracowni. W tej samej chwili wypadł z niej Cuma blady, z szałem w twarzy, z dziką radością w wytrzeszczonych okropnie oczach.

— Hanneh! Hanneh! Chodź tu!

Chwycił ją za rękę i wciągnął do wnętrza. Po chwili powietrze przeszył krzyk Hanneh, potem dziwny, histeryczny śmiech, wreszcie płacz, ale płacz nie żalu, nie przerażenia, lecz ekstazy, zachwytu...

W drzwiach pracowni ukazał się Cuma, niosący na rękach półzemdloną Hanneh.

— Co to było? Co to było? Hanneh! Powiedz, na Allaha! — błagali ją wszyscy, gdy Cuma oddalił się.

Hanneh ocierała łzy, oszołomiona i dygocąca.

— O! Hanneh była w raju i widziała błyszczący cud! — wołała wśród łkań.

A „błyszczący cud" pachniał coraz silniej i zoraz piękniej. Od zapachu tego ludzkie ciała i dusze poczęła ogarniać niemoc, omdlałość i niewytłumaczone uczucie szczęścia. Każdy powiedział sobie w sercu swem, że warto było żyć dotąd, choćby dlatego, by poznać tę woń, której podobną wydawały chyba tylko święte kwiaty w raju, gdzie błogosławieni żyją w wiecznej radości...

— — — — — — — — — —

W niespełna dwa lata później Benedykt Cuma był już w Europie. Przybył do niej ciszej jeszcze niż ją opuścił. Postarał się też o to, aby go nikt nie widział, a zwłaszcza, by — ujrzawszy nawet — nie poznał. Towarzyszyła mu Hanneh z coreczką i służbą przyjętą na stałe. Byli wśród niej i Arabowie i Hindusi, przeważnie ci, którzy byli już przy nim na Sudanie.

Zatrzymali się w Hiszpanji. Cuma kupił w Andaluzji, w pobliżu Grenady, przepiękny majątek ziemski. Majątek ten w kilka dni później stał się notarjalnie własnością czteroletniej Edyth Ferallano. W jaki sposób udało się Cumie wmówić w notarjusza, że takie jest nazwisko Edyth — pozostało nazawsze tajemnicą. Tajemnicę tę zabrał ze sobą notarjusz do grobu, albowiem zmarł niespodziewanie w niespełna tydzień później.

Na majątku Edyth osadził Cuma zarządcę, a dla kontroli sam miał przyjeżdżać co jakiś czas.

Zabrawszy córeczkę, wyjechał do Austrji, do Galicji i zaprzepaścił się gdzieś w Tatrach...

W sześć lat później Edyth ponownie przybyła do Hiszpanji, gdzie ojciec oddał ją do internatu wychowawczego przy klasztorze. Dziewczynka wiedziała tylko tyle, że nazywa się Edyth Ferallano, że matka jej umarła już dawno, a ojciec podróżuje i jest daleko. Wychowanie i wykształcenie Edyth opłacać miał, według pisemnej dyspozycji, przesłanej przeoryszy Zakładu, zarządca majątku Edyth z dochodów, które majątek ten stale przynosił.

Zakonnice i wychowanki Zakładu szybko polubiły dobrą i cichą Edyth. Obchodzono się z nią delikatnie, gdyż była dziwnie wrażliwa, lękliwa, pełna subtelności i rozmarzenia.

W niespełna rok po przybyciu Edyth do Hiszpanji całą Europę ogarnęła pożoga wojenna, by potem przerzucić się na inne części świata.

Przez cztery lata ziemie spływały krwią. Najhojniej szafował nią naród przez trzy mocarstwa gnębiony w niewoli: walczył o niepodległość.

I stał się cud!

Wykupiona z niewoli nie złotem, ale krwią i genjuszem Jednostki, odzyskała wolność męczeńska, święta kraina: P o l s k a ! — ojczyzna Benedykta Cumy.

ROZDZIAŁ 9.

Sala koncertowa wypełniona była do ostatniego miejsca. Tylko na parterze, w pierwszym rzędzie naprzeciw estrady, znajdowały się niezajęte jeszcze trzy krzesła, zarezerwowane dla Flory, Edyth i Stanisława.

Oprócz tych trzech parterowych krzeseł jeszcze kilka było miejsc niezajętych: w parterowej loży przy wejściu siedział, wśród reszty pustych foteli, samotny jakiś człowiek.

Siedział bez ruchu, spokojny, milczący, obojętny na wszystko, co działo się wokół. Trzydzieści lat upłynęło od chwili, gdy w tej samej sali po raz pierwszy ujrzał Marję Larosse. I oto po trzydziestu latach zjawił się znowu niespodziewanie, jak duch i cicho, jak duch. Cofnął się z fotelem w głąb loży, by ujść uwagi ciekawych spojrzeń i, uśmiechając się złośliwie, patrzył uparcie w pierwszy rząd krzeseł. Siedziała tam w towarzystwie ojca mała Jeanne, piętnastoletnie dziewczątko, jedyna córka Marji hrabiny de Contades.

Była portretem matki z jej lat panieńskich. Nie miała już wprawdzie tej urody, którą niegdyś tak czarowała matka, ale odziedziczyła po niej ową dziwną, promienną jasność, którą tak trafnie określało porównanie z gwiazdą. Ze wszystkich stron kłaniano się jej, a ona obracała żwawo swą dziecinną jeszcze główką, oddając ukłony. Kręciła się przytem niespokojnie na swem miejscu, bezustannie pytając o coś ojca, który, siedząc obok niej, uspokajał ją i coś perswadował. Widać było z całego jego zachowania, że córka jest jego największym skarbem, największą radością jego życia.

Benedykt Cuma patrzał na to szyderczo. Zwilżał językiem sine wargi, a oczy jego, pełne zwyrodniałej żądzy, wpijały się w jasne oblicze Jeanne. Nie poto przyjechał on do Paryża, Bóg wie, z jakiego kąta świata, by zobaczyć Marję. Nie! Przyjechał ostatecznie zemścić się za całe swoje życie, ale nie na Marji bezpośrednio: przyjechał zabrać jej to, co było dla niej najdroższe, nad wszystko ukochane i stanowiło dla niej najwyższe ziemskie dobro: córkę.

Ohydną duszę Cumy przepalała radość. Widział już rozpacz Ludwika i Marji, którzy mieli dowiedzieć się nietylko tego, przez kogo umarło ich dziecko, ale i tego, jak umarło...

Sala koncertowa huczała. Zadźwięczał pierwszy dzwonek. Po chwili w drzwiach wejściowych, naprzeciw loży Benedykta Cumy, ukazało się troje ludzi: Florentyna, Edyth i Stanisław.

Grzebiński wyprzedził panie, szukając oczyma krzeseł, a Flora i Edyth pomaleńku zdążały za nim, rozmawiając swobodnie.

Wrzawa sali poczęła niespodziewanie przycichać. Głosy ludzkie urwały się i słabły, nie dokończając rozpoczętych już niejednokrotnie słów, wreszcie ustały nagle. Zrobiła się cisza. Cisza ta uderzyła Florę i Edyth: przerwały rozmowę i zaskoczone spojrzały po sali.

Wówczas Florentyna dostrzegła setki utkwionych w siebie oczu. Oczy te, pełne zdumienia i niedowierzania, obejmowały ją całą, by z kolei przerzucić się na najbliższych sąsiadów z niemem zapytaniem, a potem znów skierować się na nią.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi. Zatrzymała się i stała nieruchomo, oblana jaskrawem światłem żyrandoli. Jej cudna wiośniana postać, owinięta suknią koloru herbacianych róż, wydawała się jednym wielkim promieniem. Puszyste kędziory połyskiwały złotawo na wszystkich zagięciach, więc główkę jej otoczyła jasność, jak aureola. Ulewa blasków biła w jej twarz, pozwalając obecnym podziwiać przecudne rysy, którym podobnych nie wyrzeźbili nigdy najgenjalniejsi mistrzowie wszystkich epok i wszystkich czasów.

Hrabia de Contades podniósł się i złożył Florentynie głęboki ukłon, a Jeanne poczęła w kierunku jej kiwać rączką i uśmiechać się.

— Kto to jest? kto to jest? — padł grad pytań w stronę Jeanne.

Mała hrabianka natychmiast uświadomiła najbliższych. Imię Flory i kraju, z którego przybywa, poczęło krążyć z ust do ust, z pierwszego rzędu pobiegło w drugi, z drugiego w trzeci, czwarty, dziesiąty, dostało się do lóż...

Nagle jakiś głos zawołał:

— Wiwat piękna Polka!!

— Wiwat! wiwat! — odpowiedziały odrazu dziesiątki, setki głosów. Sala koncertowa drżała od oklasków i wiwatów. Uczynił się łoskot i ruch: to w lożach i dalszych miejscach publiczność podnosiła się, by lepiej widzieć cudnie piękną dziewczynę.

Florentyna nareszcie zrozumiała. Zmieszała się nadzwyczajnie. Purpura oblała jej twarz, a prześliczne piersi poczęły drżeć pod suknią. Nagle usta jej rozchyliły się i posłały publiczności uśmiech na znak podziękowania.

Wtedy prawdziwy szał porwał zgromadzonych. Entuzjazm, jaki trzydzieści lat temu wybuchł w tej samej sali na widok uśmiechu Marji Laross, był niczem w porównaniu z burzą, jaka zerwała się po uśmiechu Flory. Publiczność stawała na krzesłach, lub opuszczała swe miejsca, tłocząc się ku niej. Do nóg jej poczęły padać chusteczki, programy, rękawiczki...

Grzebiński patrzał spokojnie na to wszystko. Piękna jego twarz zachowała swój zwykły chłód i spokój, ale serce jego rozsadzała radość i duma, że ubóstwiana kobieta odbiera hołdy, godne swej piękności. W pewnym momencie Flora zwróciła ku niemu twarz, jednocześnie zakłopotana i szczęśliwa, i wyciągnęła ku niemu ręce, jakby u niego szukała ucieczki. Podszedł ku niej, skłonił się nisko i do ust przytulił obie te drżące dłonie, jakby w ten sposób chciał jej dać do zrozumienia, że podziela zachwyt francuskiej publiczności.

Domyślono się natychmiast, że jest jej rodakiem. Kobiety obejmowały wzrokiem wykwintną postać cudzoziemca, posyłając mu zarazem spojrzenia powłóczyste i zaczepne, ale on tego nie widział.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI)

sztuka i FILM



Stenia Stanisławska, solistka baletu Teatru Wielkiego w Warszawie. — Bliższe szczegóły na stronie 16-tej.

STENIA STANISŁAWSKA.

Przyjechała z urlopu opalona na bronz, jeszcze radośniejsza i pogodniejsza, niż zazwyczaj, wpadła na salę baletową Teatru Wielkiego i odrazu rozsłoneczniła ją swoją wiośnianą świeżością i upojną promiennością złotowłosego, 18-letniego dziewczątka...

Jak rój różnobarwnych motylków do rozkwitającego pąka różanego zbiegła się ku niej gromadka koleżanek-tancerek, odzianych w zwiewne, kolorowe, kuse kostjumiki ćwiczebne. Były zaintrygowane, rozgorączkowane i jedna przez drugą witały się, całowały i wypytywały, wypytywały:

— Jakże tam było? I czy to wszystko prawda?

O, bo tu tymczasem krążyły wieści, wręcz sensacyjne...

Coś w tem musiało być, bo przemiły blondasek — Stenia Stanisławska, młodziutka solistka baletu Teatru Wielkiego — opowiadała coś koleżankom z radosnym błyskiem w zalotnych i figlarnych oczętach, a tamte aż rumieniły się i bladły naprzemian z przejęcia.

I nie byłbym dziennikarzem, gdybym, jako przypadkowy świadek tej sceny, nie zainteresował się relacją zachwycającej tancerki.

Zbliżyłem się więc i po paru słowach powitania rzekłem:

— Koleżanki już są chyba dostatecznie poinformowane, niechże i „Światowid" dowie się o tej unoszącej się w powietrzu sensacji. Cóż to się takiego wydarzyło podczas urlopu..?

A na to panna Stenia — spojrzała tajemniczo filuternemi ślepkami i zamiast odpowiedzi zanuciła znaną piosenkę:

— To w życiu bywa, to się przeżywa tylko jedyny, jeden raz... Jak złoty promień to z nieba spływa, jak blask słoneczka pełen kras...

— Bardzo ładnie to pani zaśpiewała, panno Steniu, i głosik wcale nie „jak do baletu", ale możeby pani to zechciała wyłuszczyć bardziej rzeczowo?

— Przed wyjazdem ostatnim moim występem była operetka „Hrabia Luxemburg", a w niej jest śliczna piosenka: „Czy to ty, szczęście me, coś uśmiechnęło się?"

— Znów pani będzie śpiewała?

— Nie, ale te słowa przypomniały mi się właśnie tam... gdy... to się stało..: — rzekła rozmarzona, unosząc się snać myślą znów „tam", bo oczy połyskiwały odurzającemi iskierkami.

Widzę, że z tem olśnionem i... olśniewającem dziewczątkiem nie dogadam się, zapytuję więc pierwszej z brzegu koleżanki:

— Cóż to się takiego Steni przytrafiło?

— Była na urlopie w Belgji. Tam poznała młodego ślicznego chłopca, amerykańskiego miljonera, który zakochał się w niej i oświadczył się...

To rozumiem... krótko, węzłowato i dobitnie.

— Czyżby istotnie? — zapytuję szczęśliwą wybrankę losu.

— Tak — odpowiada rozpromieniona — cudny chłopiec... wie pan, jak Gene Raymond, tylko, że trochę szczuplejszy... albo jak Filip Holmes, tylko, że bardziej męski, mniej chłopczykowaty.

Dla rzadziej bywających w kinie wyjaśnienie — blondynek o płowych włosach i jasnem młodzieńczem spojrzeniu, wysokiem czole i szlachetnych rysach twarzy.

To rzeczywiście sensacja...

— Niechże pani łaskawie opowie wszystko po kolei, jak to było... Tylko już prosiłbym bez śpiewu.

— A więc było tak. Mamusia mówi, że powinnam się uczyć po francusku, bo może kiedyś dostanę engagement zagraniczne, więc żebym umiała. Uczę się więc u pewnej pani — belgijki. I już ubiegłego lata się postanowiło, że dla konwersacji powinnam wyjechać do Belgji, zwłaszcza, że starsza siostra mojej nauczycielki prowadzi pensjonat w Wavre, miejscowości letniskowej pod Brukselą, więc mnie tam przyjmą taniusio. Przez cały rok oszczędzałam, żeby starczyło na wyjazd choćby trzecią klasą i pobyt na miejscu, choćby taki tani. Jakoś uciułało się i... pojechało się... Pewnego dnia z rodziną mojej nauczycielki wybraliśmy się na wycieczkę do Ostendy. Byliśmy tam na „balu morskim". Zaprosił mnie do tańca pewien chłopiec, jak malowanie. To był właśnie „on". Potem przedstawił się państwu, z którymi byłam... Nazajutrz zaprosił całe towarzystwo na podróż po Belgji swoim wspaniałym „Packardem". Zdążyliśmy zwiedzić całą Belgję i Luxemburg. Piękną Gandawę, nadmorską Antwerpję, Leodjum, pełne pamiątek powojennych, Malines z jego monumentalną katedrą, Bruges z jego poetyczną martwotą... szereg baśniowych miejscowości nadmorskich, jak Knocke, Middelkerke, Westend, gdzie wybudowano zdumiewający dancing podwodny o oszklonych ścianach...

— I co było dalej z tym Amerykaninem?

— Sprowadził się do pensjonatu, gdzie mieszkałam. Spędzaliśmy czas bardzo mile... no i... oświadczył się... i... nie dostał kosza...

— Kiedy ślub?

— Ach, nie chcę nic planować, aby nie uroczyć. Za rok kończy studja uniwersyteckie...

— Rozumiem, to mi wystarczy. A pani tymczasem jak gdyby nigdy nic, wróciła do swykłej pracy?

— O, jabym bez tańca żyć nie mogła. Choć mi tam było, jak w raju, ale gdym sobie pomyślała, że tu już sezon się zaczyna, pożegnałam się z moim narzeczonym do następnego lata i pośpieszyłam do mej ulubionej sceny.

Podajmy krótki życiorys przyszłej miljonerki. Urodziła się na wsi, na szczerej polskiej wsi, pochodzi bowiem z rodziny ziemiańskiej, od wieków mającej swoją sadybę gdzieś pod Opocznem.

No, teraz już wiadomo, skąd te naturalne, wcale nie pokreślane sztucznie rumieńce na twarzyczce Steni... włosy, jak złociste kłosy, oczy jak połyskujące wśród nich chabry, a usta jak kraśne maki...

— Od dziecka, tak długo, jak siebie pamiętam — zwierza nam się Stenia — jakiś mus wewnętrzny nakazywał mi tańczyć... a muzyką do tańca było mi wszystko: czy to fujarki granie, czy słowików śpiew, nawet klekot boćka z nad strzechy, nawet rechotanie żab późnym wieczorem... czy poszum drzew w lesie lub odgłos strumyka, szemrzącego z oddali... A gdy parobki z dziewuchami hasali przy niedzieli wieczorami przed karczmą, to mnie aż coś ponosiło... Wymykałam się i patrzyłam, i słuchałam, i ledwo na miejscu ustać mogłam... Tam mi mijało dzieciństwo w pląsach, aż... — i tu nagle pogodna twarzyczka Steni omroczyła się chmurką smutku.

Czekam z zaciekawieniem dalszego ciągu opowieści i oto słyszę:

— Tatuś umarł... Mamusia nie podołała nadmiernym trudom gospodarki wiejskiej, sprzedało się dobra i przyjechało do Warszawy. Tu już nie było tego rozśpiewania, co na wsi, ale było... pianino i był mój brat, tak samo się rwący do muzyki, jak ja do tańca. Teraz już ukończył konserwatorjum... I znów co on grał, to ja tańczyłam... Nawet gamy, słowo daję... Poprosiłam mamusię, aby mnie oddała do szkoły baletowej. Hm, hm... to nie takie proste. Zwołano naradę rodzinną. Wszystkie ciocie były oburzone. Jak można? Ale moja mamusia jest taka kochana, że niczego mi odmówić nie mogła. Póty prosiłam i błagałam, aż wreszcie swego dopięłam, choć... ciocie z nami zerwały, doprawdy... i teraz nawet nie wszystkie jeszcze u nas bywają...

Spójrzmy teraz na dotychczasowy bilans artystyczny tej utalentowanej tancereczki, która pomimo młodego wieku jest już solistką stołecznego baletu.

Najpierw lata uciążliwej pracy. Doroczne popisy już wysuwają na pierwszy plan malutką wtedy jeszcze Stenię. Rok 1934. W czerwcu koniec studjów w szkole baletowej i zaszczytny dyplom po popisie solowym. A ukończenie szkoły z dyplomem przypada rzadko której uczennicy w udziale. W 1934 r. dyplom otrzymało na mnóstwo kończących— więcej, niż zazwyczaj, bo aż... trzy. Wśród nich wyraźnie na czoło wysunęła się Stenia Stanisławska, otrzymując z rąk ówczesnego baletmistrza Zajlicha cenne trofeum dyplomowe.

To też, nawet gdy potem objął kierownictwo baletu Teatru Wielkiego baletmistrz Ciepliński i niezmiernie surowo przesiewał cały dotychczasowy zespół, poznał się na talencie Steni Stanisławskiej tak szybko, że nietylko odrazu zamianował świeżo upieczoną absolwentkę szkoły baletowej solistką, ale natychmiast powierzył jej wespół z Olą Glinkówną reprezentowanie tańca polskiego na wszechsłowiańskim festiwalu tanecznym w Lublanie (Jugosławja).

Móc reprezentować artystycznie swoją ojczyznę, mając zaledwie 17 lat, toż to sukces niełada!

Cały sezon upłynął dla Steni Stanisławskiej bardzo korzystnie. Baletmistrz Ciepliński wysuwał ją stale na czoło, czy to w „Aidzie", czy w „Carmen", gdzie Stenia była doskonała. Okazuje się, że najbardziej odpowiadają jej tańce tak ogniste, jak hiszpańskie, gdzie trzeba dać ze siebie maksimum temperamentu tanecznego.. W „Nocy Walpurgi" Stenia ma wielce efektowne solo, kreując Astarte, asyryjskie bóstwo miłości i piękna. Ciepliński wiedział, że Stenia jest najbardziej idealnem uosobieniem tego najsłodszego powabu życia w zespole Teatru Wielkiego. Sukces był wielki... — W „Kopelji" Stenia była jedną z przyjaciółek Swanildy i cała prasa zgodnie stwierdziła, że była w tem gronie najlepszą, najżywszą, najbardziej „taneczną".

Baletmistrz Pianowski nie pomijał także żadnej sposobności, aby wysuwać Stenię na pierwszy plan, ceniąc wysoko jej zdolności, do tego stopnia, że obsadził ją w tańcu meksykańskim, który wykonywał sam z Kaniewską i Glinkówną. Dał też w „Wieszczce lalek" powabny duecik z Olą Glinkówną; w „Niemej z Portici" włączył do czołowego kwartetu najlepszych „klasyczek" wraz z Karczmarewiczówną, Nowicką i Glinkówną, a w „Hr. Luxemburgu" uplasował na czele w walcu i kankanie.

O tym kankanie warto wspomnieć specjalnie, bo był bodaj najjaskrawszym dowodem prawdziwego artyzmu Steni, polegającego na intuicyjnej umiejętności wcielania się w odtwarzane postacie... Kto zna Stenię, wie, że w życiu nie nie jest jej bardziej obce, niż rozwydrzenie pijanej gryzetki paryskiej, które miała odtworzyć. Gdy się zaś patrzyło na nią w tym tańcu, wprost oczom się nie wierzyło. Tak znakomicie uplastyczniała wulgarny, rozbestwiony szał ulicznej bachantki paryskiej z epoki kankana, tak bez reszty wgryzała się w typ, duchowo jak najbardziej jej daleki, tyle miała nieokiełznanego wręcz orgjastycznego rozpasania, umiejętnie groteskowo przejaskrawiając wyzywającą frywolność rozhukanej nimfy Montmartre'u, że wnet po skończonym I akcie operetki pobiegłem za kulisy, aby się przekonać, czy nam kto tej Steni nie odmienił...

Siedziała najspokojniej w garderobie, zacierając charakteryzację i szykując się do wieczoru, gdzie trzeba się było pokazać, jako zupełnie inny typ — wiedeńskiej „süsses Mädel"... Rozwydrzenia i wulgarności już nie było ani śladu. Była zwykła, pogodna, jasna, wesoła Stenia Stanisławska. Z paru słów rozmowy wynika, że wcale sobie nie zdaje sprawy, czem i kim była jeszcze przed chwilą... A można było pomyśleć, że studjowała specjalnie typ, jaki stworzyła. Nie, to wszystko podpowiedziały jej talent i intuicja artystyczna! Tak, tak, z tej małej Steni to już wielka artystka...

Henryk Liński.



Stasia Stanisławska w stylowym tańcu klasycznym.
Fot. „Van Dyck".

W OGRÓDKU PHILIPSA W WARSZAWIE.



Próbne demonstracje nowych, rewelacyjnych modeli odbiorników Philipsa na rok 1936, kończą się codziennie dancingiem przy dźwiękach doskonałej aparatury Philipsa, umieszczonej w odbiorniku-olbrzymie. Philips — niewyczerpanem źródłem radości!

KILKA CHWIL Z MAZAREKÓWNĄ.



Do Warszawy przybyła niedawno znana artystka dramatyczna, p. Stanisława Mazarekówna. Spotkaliśmy się z nią na premjerze w jednym z warszawskich teatrów.

— Gdzie pani tak długo bawiła? — zaczynam wywiad.

— Pracowałam cały sezon w Pomorskim Teatrze Objazdowym. Potem miałam jeszcze kilka występów na prowincji, no i teraz wróciłam do Warszawy.

— I cóż, zadowolona pani z tej pracy?

— Bardzo. Jak panu zresztą wiadomo, lubię włóczęgę. Wolę to nawet od pracy w stałym teatrze. Warunki wprawdzie mieliśmy dość trudne, cały czas mieszkało się w wagonie kolejowym, co wieczór, lub co kilka wieczorów było się w innem mieście. Sale, a szczególnie garderoby pozostawiały czasami dużo do życzenia, ale mimo to ogólny bilans jest raczej dodatni. Szczególniej publiczności należy się wdzięczność za jej szczerą życzliwość.

— Czy pozostanie pani na bieżący sezon w Warszawie?

— Nie, jadę znowu, jak się mówi „w teren". Mam kilka propozycyj, m. i. do Torunia i do Wilna.

— Wspomniała pani o mieszkaniu w wagonie kolejowym. Czy rzeczywiście przez cały czas zespół wędrował?

— Tak, wagon kolejowy rzeczywiście był naszem mieszkaniem. Miałam tam do dyspozycji cały przedział pierwszej klasy, w którym urządziłam się jak w mieszkaniu. Latem i wiosną było bardzo dobrze. Gorzej rzecz się miała zimą. Ile razy odstawiano nasz wagon na bocznicę, tyle razy sypiało się jak w lodowni. — Nie było bowiem parowozu, któryby ogrzał ten nasz „pałac na kółkach" i wtedy różnica temperatury między mieszkaniem, a dworem wynosiła kilka stopni. Nieraz trzeba było spać w temperaturze 8—10 stopni poniżej zera. Mimo to humoru nigdy nie brakło. Wogóle praca w tym teatrze, jak każda praca ideowa, dała mi dużo zadowolenia i w przyszłym sezonie będę ją nadal kontynuowała.

„WYSZŁA ZAMĄŻ ZA BOSMANA".

(„She married her boss").



Claudette Colbert, jedna z największych znakomitości srebrnego ekranu, znów czarować będzie publiczność w nowym, wielkim filmie wytwórni „Columbia" p. t.: „She married her boss" („Wyszła zamąż za bosmana"). Partnerują uroczej Claudette w tym filmie: Melwyn Douglas i Michael Barlett. Reżyserja Gregory'ego la Cava, twórcy filmu „Urojony świat". Fot. Ekspl. D. H. P. Sfinks.

HELENA GROSSÓWNA



ulubienica publiczności warszawskiej, debiutowała na scenie teatralnej w Toruniu. Z zespołem śpiewaków i tancerzy polskich, sformowanych w Paryżu jeździła po Francji, Szwajcarji i Włoszech. W Warszawie zdobyła wielki sukces rolą ekscentrycznej Amerykanki w operetce: „Przygoda w Grand Hotelu". Ma za sobą dwa filmy. Obecnie występuje w teatrze „Wielka Rewja".

ST. BRZOZOWSKI — WARSZAWA.

KUPON Nr. 41 upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 12 października 1935 r.



WKRÓTCE UJRZYMY DWA ŚWIETNE FILMY WYTW. „PARAMOUNT“:

„ANNAPOLIS“

Rosaline Keith i Ryszard Cromwell, przepiękna para bohaterów filmu „Annapolis“. *Fot. „Paramount“.*

„PETER IBBETSON“

Gary Cooper i Ann Harding, klasyczna piękność amerykańska, odtwórcy ról głównych w filmie „Peter Ibbetson“, reżyserji Henry Hathawaya, twórcy „Bengali“. *Fot. „Paramount“.*



Rebus aktualny.

(Ułoż. ks. L. Klementowski — Klub Szaradzistów).

Treścią rebusu jest sześć wyrazów, których litery początkowe i końcowe dla ułatwienia podajemy: M-i, m-e, s-ę, s-ć w A-i.



Oddanie hołdu.

Logogryf historyczny.

(Ułoż W. Nowicki — Klub Szaradzistów).

Noc pierzchała zwolna! Wstawał świat ponury
jeden się liniwie, a **piętnaste** słońca
z trudem przenikały brudno-szare chmury.
Umilkł wiatr... i cisza stała się dzwoniąca!

Wrony opuszczając nocne legowiska
swem złowróżbnem **szóstem** ciszę tę mąciły!
Jakiś wielki smutek się nachalnie wciskał
w serca, budząc żałość oraz lęk niemiły!

— — — — — — — — — — —

Już powstaje wokół ruch w obozowiskach ,
raźnie się zwijają dzielni kosynierzy,
zabrzęczały kosy, w „łzy miga“ lęk pryska
i człek już nie myśli jak się z wrogiem zmierzy!

Patrzy wódz w **dziesiątych!** Widok ten go cieszy!
Wierzy w „Działyńszczyków“, w „Dembowskiego“ strzelców,
oraz w inne pułki sprawnej polskiej rzeszy.
Co mu tam **dwunaste** pułki są „wisielców“.

Gdy się pułk Krakusów **siedem** i ustawił,
stanął wnet przed niemi ich ojciec Ausgary,
krzyżem ich naznaczył i pobłogosławił
i zaintonowił głosem drżącym, starym

pieśń, każdemu sercu znaną: „Święty Boże!“
Wówczas z **trzecim** broni padli na kolana
i chór zgodnych głosów w hołdzie i w pokorze
z piersi wojowników rozległ się po łanach!

Wódz rosyjski Fersen **siedemnaście drugie**
pieszych wojsk sybirskich i jazdy huzarów,
sotni też kozaków stały rzędy długie
i moc artylerji otoczyła parów!

„Uraaa!“ **pięć** w tej chwili i ruszyły w pędzie
na **Ostatnie** wojska rosyjskiej piechoty
i jak okiem sięgnąć widziałeś ją wszędzie
z bronią jaśniejącą w blasku słońca złotym!

Całym gradem **ósmych** została przyjęta,
polskiej artylerji pocisk mknie za **czwartym**,
lecz się wróg nie lęka! Gdy się bój rozpęta
nowych sił zasobem będzie wnet poparty!

Choć już wkrąg **szesnaście** setki trupów w rowach
nasi, gardząc śmiercią, naprzód szli i bili.
Choć sam **Jedenasty** działami kierował,
wyrok im złowróżbny pisał Los w tej chwili!

— — — — — — — — — — —

Smutnie się skończyło krwawe to **czternaste**,
choć nie **dziewięć** klęski serca naszych Braci!
Żalu cień się rozwiał ponad wsią i miastem,
za sen o wolności gorzko Los zapłacił!

Ale Naród zawsze będzie miał w pamięci
polskie te **Trzynaste!** I zawsze poświęci
dzień październikowy, smutny dzień jesieni
na oddanie hołdu duszom bratnich Cieni!

Sylaby logogryfu: Ba, chrzę, ci, cza, cze, czel, czów, czu, do, for, jąc, ka, ka, kar, ko, kra, krzyk, le, ljo, ły, ły, ły, mie, mo, mo, na, nę, nie, nie, niem, nik, ny, pi, po, pod, pro, prze, ro, rzy, skie, skiem, sko, stem, ster, syj, szy, ta, ta, ter, u, u, wał, wał, wi, wi, zam, zwle, żół.

Z powyższych sylab należy złożyć 18 dziewięcioliterowych wyrazów, wedle objaśnień podanych w wierszu, i ustawić je wedle kolejności w rzędy pionowe. Litery środkowego (piątego) rzędu poziomego, po porządku odczytane, dadzą rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

Za rozwiązanie powyższych dwu zadań, redakcja „Światowida“ przeznacza

TRZY NAGRODY.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1 — 30 listopada 1935.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 19 października 1935 r. wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z N-ru 38:

SZARADA: 1. Haile Selassie. 2. Kwiaty jesieni.

Trafne rozwiązanie zagadek z N-ru 38 nadesłali:

Janka Markowska, Warszawa; Józef König, Toruń; Józef Urban, Targanica; Wanda Zawadzka, Lublin; **K. Pycio, Pabjanice (zł. 20—)**; Zdzisław Pałuszyński, Pabjanice; L. Ludwikiewiczówna, Łódź; E. Rozenberżanka, Brzeziny; Wł. Bereśniewicz, Dąbie; Jola i Hala Kowalczykówne, Łódź; Antoni Sieramski, Warszawa; Albert Yuzpe, Warszawa; Teofil Sobecki, Poznań; Włodzimierz Tyszkiewicz, Poznań; Zygmunt Łabęcki, Chorzów; Stanisław Domagalik, Będzin; pchor. St. Łazarewicz, Warszawa; Lesław Żukotyński, Otwock; „Wilnianin“, Wilno; Stanisław Kaszubski, Dobre; Jan Badura, Szopienice; Tadeusz Kubiczek, Chorzów; Zofja Tryhubczakówna, Kraków; Marja Dobrzańska, Przemyśl; Stanisław Kamiński, Warszawa; Lili Nowakiewiczówna, Ruda Pabjanicka; Jan Maziarz, Ozorków; Mieczysław Morawski, Stanisławów; K. Ćwiertniakówna, Zakopane; Zygmunt Szorc, Radom; Bolesław Kurowski, Warszawa; Jerzy Zapiór, Kraków; Józia Głupiówna, Czechowice; Władysław Ostrowski, Żywiec; Alfred Babik, Chorzów; Jadwiga Świerczyńska, Lwów; Karol Łukasiewicz, Brzeżany; Mery Piwowarczykowa, Borysław; Adam Piwowarczyk, Borysław; Józefa Jamrowa, Borysław; Stan. Piwowarczyk, Borysław; Klub Pracowników „Gazoliny“, Borysław; Związek Legjonistów, oddział Borysław-Tustanowice; dr. Helena Opielińska, Środa; Anna Babska, Ząbki; Anna Loeglerowa, Lwów; Wojciech Szklarski, Warszawa; Józef Rosenblatt, Łódź; Anna Papee, Katowice; **Zofja Żukowa, Jędrzejów (zł. 10.—)**; Zbigniew Kowal, Stolpce; Malwina Kozubska, Kraków; Wanda Gąsiorowska, Witaszyce; Stanisław Jakubowski, Warszawa; Marja Czajkowska, Warszawa; Józefa Drabik, Warszawa; S. Mikowska, Warszawa; „J. Alis“, Warszawa; Zofja Szutowiczowa, Wilno; inż. Zygmunt Słowikowski, Warszawa; Jan Starostecki, Łódź; Marja Flisarska, Kraków; Irena Kuczewska, Gdynia; Józef Gołębiowski, Kraków; Edward Protasewicz, Wołomin; Bronisław Morawski, Katowice; Tadeusz Brzeziński, Warszawa; Konrad Oślizło, Bierun Stary; „Myszka z Barwałdu“; Antoni Mieczkowski, Wilno; Natalja Sobolewska, Lublin; Michał Adamczyk, Siedlce; K. Młyniec, Kraków; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; R. Kwiatkowska, Włochy; Czesław Błażejowski, Ząbki; Jerzy Bielesz, Kraków; kpt. Antoni Bieganowski, Łomża; Fr. Chmielewska, Kamieńsk; Izydor Feldman, Kraków; Aleksander Miecznikowski, Zagłoba; J. Mincówna, Kalisz; „Bebe“; Marja Gawryleni, Baranowicze; W. Hahorkiewicz, Skawina; Feliks Bronisławski, Baranowicze; Marjan Jagusiński, Kraków; Kazia Tymkówna, Lwów; Zofja Fiutkowska, Warszawa; dr. W. Womperski, Starachowice; ppor. Kazimierz Hynkiewicz, Wilno; Wasilewska Walerja i Walczyński Stanisław, Częstochowa; W. Nose, Anin; dr. Bogusław Zadurowicz, Lwów; Zygmunt Tietz, Warszawa; „Marjola“, Skidel; Alicja Bredsznejder, Włocławek; B. Garlińska, Łódź; Jan Krupa, Kraków; Tadeusz Wiśniewski, Kraków; Józef Misiołek, Łęzyny; Mieczysław Drozd, Krynica; Ludwik Wawrzyczek, Kończyce Małe; Kazimierz Wojciechowski, Wieluń; Janusz Maciej Raciecki, Wejherowo; Bronisława Ramułtowa, Jeżów; Marjan Taras, Stryj; Władysław Nycz, Szelków-Nowy; Wojciech Woźniak, Kraków; Charlotta Morawcówna, Rybnik; **Ewa Brzozowska, Warszawa** (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1 — 30 listopada 1935).

Nagrody otrzymali pp. K. Pycio, Pabjanice (zł. 20.—), Zofja Żukowa, Jędrzejów (zł. 10.—), oraz Ewa Brzozowska, Warszawa (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1 — 30 listopada 1935 r.).

Nagrody pieniężne, redakcja „Światowida“ prześle niebawem.

BEZPŁATNE PORADY

Z DZIEDZINY KOSMETYKI, HIGJENY i KULTURY FIZ.

pod redakcją MARY MAYER

kierowniczki szkoły i atelier kosmetyki

W WARSZAWIE, KRÓLEWSKA 2

PANI HALINA L. — OSTRÓW. Zapytuje Pani czy rozszerzone pory mogą istnieć przy cerze suchej. Gruczoły łojowe nie wydzielają normalnie, a naskutek tego defektu pory rozszerzają się. Jak na to poradzić? Przy Pani 23 latach rad jeszcze wiele się znajdzie. Używa Pani wiele ruchu, a mimo wszystko cera pozostawia wiele do życzenia. Radzę Pani — wykonywać codziennie masaż przy pomocy ciepłej łyżeczki, na następującym kremie: Rp.: Lanolini 18,5, Cerae albae 11.0 — Oleum parafini 48,5 — Cholesterini 2,5 — Baracis 1,0 — Aquae destill. 15,0 — Ac. benzoici 0,5 — Oleum rosae 1,0.

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

POCAŁUNEK BRATERSKI W OGNIU ARMAT.



Wzruszająca scena powitania dwóch braci, żołnierzy abisyńskich, którzy spotkali się na froncie pod Aduą.